

Gwiżdowski Wiesław

Giergard

Z „*Science Fiction*” nr 11 – styczeń 2002

Książę Kian westchnął ciężko i potarł czoło. Jesień przyszła babim latem, czerwienią liści i przelotnymi opadami. Dawno nie było tak pięknych i melancholijnych dni. Zadumać by się nad nimi, zapaść, zapomnieć. Oto zadanie na przyszły tydzień.

Odwrócił się od okna, popatrzył na twarze doradców. Najstarsi z najstarszych, najmądrzejsi. Pozbawieni uczuć, pozbawieni poczucia humoru, odlegli. Marzeniem jego było zdetronizować Radę, pozbawić ją przywilejów, odesłać do archiwów i zamknąć za nimi drzwi na sto żelaznych sztab.

Był księciem bez władzy. Był marionetką targaną sprzecznościami i młodością.

- Przysłiście radzić, czy rzucić cień na moje myśli? - zapytał. - Jakież z was pożytek?

- Jesteśmy twą Radą, panie - rzekł najstarszy.

- Zatem radźcie! - podniósł głos książę. - Na co czekacie?! Aż dobry Bóg zerknie na nas łaskawszym wzrokiem i wyśle swych posłańców?

- Musimy czekać, panie.

- Pytam się, na co? I po co? Nie dostrzegacie, że ta droga prowadzi donikąd. Zaślepiła was władza i starość.

- Musimy czekać. Wszędzie toczy się wojna. Tak jak zarządziłeś, najmężniejsi z giergardczyków wyruszyli po pomoc. Minęły trzy dni. To za mało, by uznać ich za martwych.

- Dość - szepnął Kian.

Nie był wojownikiem, nie miał armii. Gwardziści, których utrzymywał dla pilnowania ładu, posługiwali się orężem nie lepiej od niego. Od dziesiątków lat trwała sielanka. Wszyscy przyzwyczaili się i polubili ów zastój.

A najgorsze, że spichlerze stały puste, bo nikt nie zagnał zarządców do zbierania plonów. Z dnia na dzień odwlekane obowiązki odpłaciły się bólem głowy. Nie ukarał winnych, bo byli potrzebni przy obronie miasta. W najczarniejszej wizji dostrzegał łuny pożarów i łzy ostatnich żywych.

- Żyłem jak ślepiec i tak zginę. Nawet go ta myśl nie przerażała.

- Najeźdźca nie będzie wiecznie czaił się u bram, panie - przerwał milczenie najstarszy. - Gdy barbarzyńcy odstąpią, uderzymy.

- Do tego czasu przygotowujemy oręż, a mężczyźni posiadają tajniki sztuki wojennej - dodał inny, zwany Tenetem.

Kian podniósł głowę. Czy się przesłyszał, czy nie zrozumiał? Zbroje zardzewiały, miecze pokrył kurz. O czym bredzą ci starcy? Być może już jutro barbarzyńcy przypuszczą decydujący atak, rozbebeszą bramy i zburzą mury. Kto im się przeciwstawi? Dwa tuziny gwardzistów, kobiety, dzieci?

- Od kogo? - zapytał, nie chcąc kolejnej kłótni.

- Od nas, panie. W starych księgach jest wszystko to, czego potrzebujemy. Nikt nie rodzi się wojownikiem. Każdy, kto będzie w stanie utrzymać miecz, otrzyma go. Już dziś możemy rozpocząć przygotowania.

- Z czterech stron stoi armia wroga - rzekł Kian. - Tysiące barbarzyńców. Jak przekonacie lud, ojców rodzin i ich żony?

- Nie będziemy musieli przekonywać. Zrobią to dla swych dzieci.

- I zginą.

Bóg nam dopomoże. Nie zginą. I my nie zginiemy.

* * *

Magdun odstawił półmisek i otarł usta chusteczką. Lubił dobrze zjeść. Zmęczony przedłużającą się agonią miasta, w posiłkach odnajdywał zapomnienie.

- Niewierni ćwiczą, panie - relacjonował podwładny.

Ble, ble, ble...

- Zagar wyruszył na południe...

Magdun skinął na niewolnicę. Gdy usiadła na pościeli, położył się i oparł głowę o jej udo.

- Ci ludzie to idioci - rzekł. - Liczą, że się znudzimy i zostawimy ich w spokoju? Nic zrobimy tego, prawda?

- Nie, panie - potwierdził tuzin wiernych głosów.

- Żał mi będzie, gdy zginą. Ale widocznie tego chcą, nie będę zmuszał ich do uległości. Czy jestem tyranem? Czy nie lituję się nad ich losem? Wiem, że im ciężko.

Był zdobywcą, lubił poznawać nowe miasta od środka. Giergard kusiło go od dawna. Zwano je miastem pokoju, wybranym przez Boga niewiernych. Słynęło z bogactwa i zniewieściałych mężczyzn.

Magdun zdobył już Sowen i Tiun, kilkadziesiąt pomniejszych osad i grodków. Wciąż chciał więcej.

- Mero - rzekł - zajmiesz się tunelem. Wybierz sobie silnych niewolników i kogoś, kto stanie nad nimi z batem.

- Tak, panie.

Nawet moja cierpliwość ma swoje granice. Jak nie chcą po dobroci, weźmiemy siłą. Albowiem, jak mówił poeta, żyje się krótko, a potem się umiera. Pogrzebiemy Kiana razem z jego trzodą.

* * *

Oto zbliżał się koniec marazmu, życia, lata.

- Panie, jesteśmy gotowi.

- Jesteście szaleni.

Przez ostatnie dni z okien zamku przyglądał się szkoleniu i z każdym dniem bardziej przygasiała nadzieja na zwycięstwo. Mądre księżki mówiły o dawnych bitwach i taktyce, nie było w nich jednak napisane, że miecz w ręku laika równa się jego śmierci.

Broniły ich mury, budowane i umacniane za rządów jego poprzedników, mogli kryć się w ich cieniu do wyczerpania mizernych zapasów. W ciągu całego oblężenia, jeśli nie liczyć śmiazków, którzy wyruszyli po pomoc, przed majestat Wszechmocnego wybrało się kilkunastu mężczyzn, kilka kobiet i kilkoro dzieci. Teraz starcy z Rady chcieli wysłać na rzeź kwiat jego poddanych. Ot tak, po prostu.

- Nie zgadzam się - rzucił, nie odwracając się. Patrzył na obóz wroga, setki rozstawionych szałasów, ogniska, ludzi. Część armii odeszła, nie wiedząc gdzie, zapewne dalej palić i mordować. To dało im nadzieję, że oczekiwanie znudziło i uspiło barbarzyńców, dało nadzieję na przetrwanie oblężenia. Stąd niespodziewana decyzja Rady. Głupia decyzja.

- Postanowiliśmy, że uderzymy o zachodzie słońca.

- Za moimi plecami decydujecie o losie moich braci - Kian starał się nie podnieść głosu, choć ogarnął go nagły gniew. - Zapomnieliście, kto tu rządzi.

- Nie zapomnieliśmy, książę.

- Co zatem powiecie na to, byśmy się poddali? Stracimy wolność, jeśli to życie można w ogóle tak nazwać, lecz zachowamy głowy. Barbarzyńcy nie są aż tak zdegenerowani, by nie znali miłosierdzia.

- Powiedz to, panie, kobietom i starcom - odparł najstarszy. - Jaką dla nich przewidujesz przyszłość?

Zrozumiał i uśmiechnął się. Wódz najeźdźców nie szczędził tych ostatnich, pierwsi szli pod nóż. Zaś kobiety... Wielu mężów traktowało je gorzej od zwierząt, barbarzyńcy nie okazaliby się z pewnością gorsi.

- Na wasze głowy spadnie krew tych, którzy zginą - przestrzegł bez wiary, że zdoła wpłynąć na ich decyzję; nigdy nie liczyli się z jego zdaniem, nigdy.

- Wzięliśmy to pod uwagę.

- Kto ich poprowadzi?

- Ty, panie.

Czy mógł się nie zgodzić? Był księciem Giergardu i miał obowiązek stanąć na czele swych zastępów. Ze śpiewem na ustach poprowadzić je na rzeź.

- A wy? - szepnął. - Skryjcie się do lochów czy pójdziecie ze mną, by wesprzeć radą i ramieniem tak, jak to teraz czynicie? Ostrzegam, że jeśli się przedrzemy, znajdę sposób, by postawić was przed katowskim stołkiem.

Starcy obejrzeni się na siebie. Na ich pomarszczonych i bladych obliczach odmalował się strach.

Wiedzieli, że jeśli atak się uda, Kian spełni swe słowa. Zbyt mocno ich nienawidził. A zwycięstwo uczyni go w oczach ludu bohaterem.

Książę uśmiechał się pod nosem. Brzydził się szantażem i zbrodnią, lecz nie wierzył w zwycięstwo i chociaż ten jeden raz chciał być górą; przypuszczał, że po raz ostatni. Drżały mu ręce, nie był pewien czy ze strachu, czy z gniewu.

- Stole i Janne pójdą z tobą, panie - oznajmił najstarszy po chwili, która zdawała się równać wieczności. - Wesprą cię radą i doświadczeniem. Wierzimy, że już wkrótce bardowie będą chwalić twe męstwo i nasze zwycięstwo.

- Wierzę wraz z wami - odparł Kian.

* * *

Magdun wyszedł przed namiot i przeciągnął się, coś chrupnęło mu w kościach. Piękny był zachód słońca nad Giergardem, piękne łąki i obfite sady wokół, czyste wody w rzece. Niewierni mogli tu żyć jak w raj. Tak też zapewne żyli.

Już wkrótce to wszystko będzie moje, pomyślał najeźdźca, gdy wróci Sylwia, sam otworzę jej bramy miasta.

Przyglądał się słońcu, kiedy spostrzegł otwierające się wierzeje. Po chwili ujrzał dziesiątki wojowników i zrozumiał.

Powoli, jakby z namysłem, podniósł róg i zadał, podrywając swą armię. Momentalnie senny obóz ożył, szcęk żelastwa zmieszał się z przekleństwami i komendami. Czekali na to od tak dawna...

Wszedł do namiotu i przypasał miecz, z nadpitego kielicha upił łyk. Popatrzył na leżącą wśród wilczych futer kobietę.

- Niewierni podjęli wyzwanie - rzekł. - Kian okazał się głębszy, niż myślałem. Ale to dobrze. - Zawrócił na pięcie. - Zaraz wrócę. Nie ubieraj się.

Setnicy już czekali.

- Mero, zagoń niewolników do rozpalania ognisk - rozporządził. - Wyznacz strażę i roześlij patrole poza obóz. Katta, zawiadom Bohda, choć pewnie już wie. Reszta do mieczy.

Wiedzieli, co mają czynić - robili to nie pierwszy raz, nim tu dotarli, stoczyli setki potyczek, byli siłą, której nie sposób zatrzymać.

Zderzyli się z niewiernymi w pełnym biegu, wrzeszcząc ile tchu w płucach, jak sfora dzikich bestii, której za jedno życie swoje i życie innych. Krew zaperliła się na ostrzach, zrosiła trawę, poplamiała odzienia. Ogień rozgorzał w oczach, zapalił serca i umysły.

Magdun śmiał się. Stojąc poza zasięgiem walczących przyglądał się bitwie, wypatrywał księcia.

Kilkakrotnie Kian mignął mu przed oczami, przepadł jednak w tłumie. Bronili go najlepsi z najlepszych. I ginęli, nie będąc w stanie przeciwstawić się fali najeźdźców.

Miecz uderzał w miecz, krzyk zagłuszał krzyk.

Niebawem z kilkudziesięciu desperatów liczących na cud pozostała garstka wokół Kiana i on sam.

Magdun zadał w róg, wieszcząc zwycięstwo.

- Książę - rzekł. - Witam cię. Długo kazałeś mi czekać, przybyłeś jednak na spotkanie, choć zupełnie nieoczekiwanie, i jestem ci wdzięczny. Upłynęłoby zapewne wiele dni, nim byśmy zdobyli miasto, a tak, może już wkrótce?

Kian opuścił miecz. Przegrał. Bardowie nie ułożą pochwalnej pieśni, wykipią głupotę i nazwą go nieudolnym władcą. Stał się przyczyną hańby Giergardu, być może również jego upadku.

Teraz nie miało to już znaczenia.

- Czego chcesz? - zapytał.

- Twej głowy, twego miasta, twych kobiet i dzieci. Po to przybyłem.

- Nie żądasz wiele.

- To prawda - Magdun nie zwrócił uwagi na drwinę w głosie Kiana. - Chciałem jeszcze spotkać się z waszym Bogiem, wiem jednak, że tylko wy macie możliwość stanąć przed jego obliczem.

- Opowiem mu o tobie.

- Będę wdzięczny. - Najeźdźca podniósł oręż: - Spójrz, wygrałem bitwę, nie brudząc go krwią. Stań naprzeciw mnie. Zmierzymy się jak władca z władcą.

Kian wyszedł przed swych poddanych.

- Nie spodziewaj się szczególnego pokazu - mruknął.

- Nie spodziewałem się go.

Zatoczyli koło, obserwując się jak wściekłe psy.

Magdun uderzył pierwszy. Kian zasłonił się niemrawo, cofnął, przyjął kilka ciosów, od których zdreptały mu ręce. Przypomniały mu się słowa starszych - o księgach, w których jest wszystko opisane. Widział śmierć Stole, przerażenie w jego oczach. Starzec nie zdążył nawet podnieść miecza, cięty przez pierś upadł po raz ostatni.

Barbarzyńca zatrzymał się, obejrzał. Zapadła noc, lecz ogniska dawały wystarczająco dużo światła, by było widno. Z murów Giergardu musiały wyglądać jak gwiazdy strącone z nieba.

- Twoi poddani patrzą na ciebie - powiedział. - Udowodnij im, że nie przez przypadek zajmowałeś tron.
- Nie prosiłem się. A wkrótce nikt nie będzie pamiętać o przypadku.
- To prawda. Postanowiłem, że nikt nie opuści miasta i obiecuję ci, że tak się stanie.

Kian opuścił miecz i parsknął śmiechem. Zatoczył się i upadł. Najmądrzejsi, a zarazem najgłupszy, przemknęło mu.

Magdun podszedł i zamachnął się, bez emocji patrzył, jak głowa księcia toczy się po ziemi, z uśmiechem zastygłym na wargach.

- Idiota - mruknął pod nosem.

Miał odejść, gdy dostrzegł Kattę na czele kilkusobowej grupy. Zaczekał, aż się zbliży.

- Niewierni dali głowy, panie - usłyszał. - Przeżył ten jeden. - Któryś z wojowników wypchnął do przodu starca.

Katta uderzył go płazem miecza, powalając na kolana.

- Ujawnił się, gdyśmy dobijali rannych - wyjaśnił.
- Kim jesteś? - zapytał wódz.

Jestem jednym z Rady. Zwę się Janne.

- Zatem jesteś jednym z głupców, którzy myśleli, że są mądrzejsi ode mnie. Dlaczego poszedłeś z księciem? Chyba nie dla sławy?

- Wróc mi wolność, a otworzę ci bramy miasta.
- Nie o to pytałem. Dlaczego wylazłeś z miasta?
- By spotkać się z tobą, panie.

- Spotkałeś się zatem. I wiesz, że możesz oddać mi swe miasto, ale nie ocalisz życia. Dałem wam czas, zmarnowaliście szansę.

- Otworzę ci bramy...

Katta uderzył na znak przywódcy. Starzec zamarł z otwartymi ustami i osunął powoli.

- Może powinienem był go uprzedzić, że nienawidzę zdrajców?

Nikt mu nie odpowiedział, lecz wszyscy, którzy usłyszeli pytanie, wiedzieli, że sens słów był skierowany również do nich. Magdun dawał im to, czego po nim oczekiwali - możliwość bezkarnych gwałtów i grabieży, nie narzekali jak dotąd. Kochali go nade wszystko.

- Zatknijcie głowę Kiana na grot włóczni i niech ktoś zanieś ją pod mury. Moja cierpliwość właśnie się skończyła. Oczekuję, że staną do walki.

* * *

Najstarszy pokiwał głową.

- Teraz widzę, że nie mieliśmy racji - stwierdził. - Nie pokonamy barbarzyńców ich bronią.
- Może ktoś się przedał? Może nie wszystko stracone?
- Nawet jeśli, to i tak przypieczętowaliśmy swój los, bracia. Przeklną nas ci, którzy nam zawierzyli, a zmarli ich wspomogą. To nie Kian, lecz my namawialiśmy do walki. I my czytaliśmy księgi. Ten, na którego mogliśmy złożyć winę, już nie żyje.

- Może gdybyśmy poddali miasto... - mówiący umilkł, bez sił, by dokończyć zdanie. Nagle strasznym wydało mu się to, co chciał powiedzieć.

- Patrzcie.

Od tysiąca ognisk, wyglądających jak strącone gwiazdy, szedł ku nim człowiek.

- Może chcą negocjować?
- Chwalmy Pana!

Po ubiorze poznali, że to niewolnik. W przedmiocie zatkniętym na włóczni, którą dzierżył w lewej dłoni, rozpoznali głowę księcia Kiana. Patrzyli w milczeniu.

- Książę Magdun - krzyknął posłaniec - kazał rzec wam, że skończyła się jego cierpliwość. W bitwie, której nie chciał, zginęło wielu jego najdzielniejszych wojowników. Nie zapomni o nich do końca swych dni, nie zapomną też ich rodziny. Dlatego, chcąc uchronić wasze kobiety i dzieci od łez i cierpienia, zapowiada, że nikt żywy nie opuści miasta. Powiadamia was równocześnie, że zdrajca o imieniu Janne oddał ducha.

Najstarszy cofnął się.

Cofnęli się ci, którzy wyglądali zza murów.

Wysłannik wbił włócznię w krecią norę i zawrócił do obozu najeźdźców. Nikt nie rzucił laną, nikt nie posłał za nim strzały czy choćby kamienia.

- A zatem, bracia moi - przerwał milczenie Inneo - nasz los się wypełnił. Módlmy się, albowiem Pan odwrócił się od nas.

- Zawsze byliśmy mu wierni...

Lecz mimo treści tych słów, w ich brzmieniu wiele było wątpliwości.

Żyli w pokoju od dziesiątków lat, gnuśniali z dala od wielkich wojen i dramatów. Rozsmakowali się we władzy, w kobietach i chętnych uciech młodzieńcach. Pławili się w rozpuście, miast umartwiać ciało i hartować ducha. Odsunęli ród książęcy od rządów w Giergardzie i podległych miastu dziedzinach.

A tymczasem wróg nie próżnował. Pałac i mordując podszedł pod mury i stał się faktem dokonany. Ich lekceważenie wieści o toczącej się wojnie musiało się na nich zemścić.

I zemściło się w najokrutniejszy sposób.

Gdy zrodziła się w nich myśl o ataku na obóz wroga, nie namyślali się długo. Każdy dzień przybliżał widmo głodu. Spichlerze były puste. Wierzyli, że komuś uda się przedrzeć i sprowadzić odsiecz. Mieli nadzieję, że Janne lub Stole przekonają Magduna, potem oni skuszą go pięknem kobiet i zasobnością skarbcza, przyćmią jego czujność.

Jeszcze wczoraj żyli wiarą, dziś...

- Złóżmy ofiarę i ukorzymy się, albowiem zło próbuje objąć panowanie nad światem. Jesteśmy zbyt słabi, by mu się przeciwstawić. Za słabi, aby ocalić Giergard.

- A siebie?

Pytanie zawisło w powietrzu. Bali się go. Bali się tego, co ze sobą niosło. Miasto, lud, władza - w obliczu zagrożenia nie miały większego znaczenia, najważniejsze było życie.

- Zbierzemy ostatnich żywych, nawet dzieci i kobiety, tych, którzy będą chcieli walczyć, i postawimy ich na murach...

- Skąd weźmiemy broń?

- Stamtąd - Inneo wskazał pole bitwy.

- Nie pozwolą nam.

- Pozwolą. Musimy przecież pochować martwych.

* * *

Magdun odłożył księgę i popatrzył na kobietę. Czerń jej włosów i oczu przyprawiły go o szybsze bicie serca. Była jego siostrą, najpiękniejszą z kobiet, jakie znał.

O brzasku przyprowadziła mu jeńca, brodatego mężczyznę, któremu sięgał ledwie do piersi. Nie czuł strachu przed nikim, lecz kiedy go ujrzał, naszła go myśl, że Bóg niewiernych nie jest kompletnym nieudacznikiem, skoro potrafił stworzyć takiego olbrzyma, i zapragnął bliżej go poznać.

- Dwustu mu podobnych spotkaliśmy po drodze - rzekła Sylwia i drzewcem włóczni uderzyła pod kolana więźnia.

Wówczas jego oczy zrównały się z jej oczyma.

- Zabił mi sześciu wojów. Pies - splunęła w twarz mężczyzny. - Choć niezgorszy ogier.

Magdun podał dłoń siostrze i zaprowadził do namiotu. Ostatnie słowa zapiekły go do żywego i z najwyższym trudem opanował gniew, nie chciał jej urazić nieopatrnym słowem.

- Posłanie czeka - rzekł.

- Nie jestem senna. - Sylwia uśmiechnęła się rzędem białych zębów. - Każ przygotować kąpiel. Śmierdzą potem i dymem, nie tak jak twoje nałożnice.

Magdun nie odpowiedział. Wyszedł z namiotu i wydał polecenia, mimochodem kopnął olbrzyma w krocze. Na razie tylko tyle mógł zrobić.

- Idą tutaj - usłyszał na powitanie.

- Gdzie są?

- Trzy, cztery dni stąd. Ale kiedy dojdą, nie wiem. Gnaliśmy na złamanie karku, czy jednak i oni nie czynią tego samego? W osadach ludzi mało i trudno o żywność. Zmarudziłeś tutaj. Trzeba było iść dalej.

- Nie mogłem.

- Co cię zatrzymało? Branki?

- Marzenie, siostrzo, nic więcej. Dość jednak. Giergard jest jak symbol.

- Czego? Gnuśności? Zniewieściałych mężczyzn? Widziałam pobojowisko, bitwa musiała wyglądać jak rzeź. Nie mów mi, że Kian wykazał się męstwem, bo nie uwierzę.

- Nie wykazał.

- Jednak go zabiłeś? Osobiście? - Odnajdywała potwierdzenie w jego oczach. - Wybacz, ale nie przysparza ci to chwały.

Magdun odwrócił wzrok. Kochał tę kobietę, a zarazem jej nienawidził. Od dnia, kiedy posiadał ją, a miała wówczas trzynaście lat, nie mógł zapomnieć. Zagubił się w przyjemności, której doświadczył.

Niewolnicy przynieśli, do połowy wypełnioną wodą, żelazną balię.

- Kamieni nie trzeba - Sylwia odprawiła ich machnięciem ręki.

- Lubiła chłodne kąpiele.

- Magdun patrzył, jak rozbiera się, a potem myje.

- W torbie mam księgę - wyrwała go z zadumy. - Poczytaj mi, proszę.

- Spełnił jej prośbę.

- „Opowieść o pasterzu, który zabił brata swego” - przeczytał tytuł legendy.

Skończył czytanie równo z kąpielą siostry. Pomógł jej się wytrzeć i namaścić olejkami.

- Panie? - dobiegł głos z zewnątrz.

- Czego?

- Niewierni wyszli z miasta. Chcą pochować martwych.

Wyrzał z namiotu. Chwilkę przyglądał się grupce obłożonych, niosących zielone gałązki nad głowami.

- Zabić - warknął.

Cofnął się do środka. Sylwia kończyła się ubierać.

- Chcesz jechać? - zdziwił się, zaskoczony.

- Tak. Ślęczenie pod Giergardem i czekanie na armię Semena nie ma sensu. Gdy już tu się zjawi, nie będzie gdzie uciekać. Z tego co powiedział mi olbrzym, jest gorszy od ciebie, nie zna litości, a miecz ma ostrzejszy od błyskawicy.

- Zobaczymy - warknął rozeźlony.

- A więc zostajesz? Jak chcesz. Twoja wola. Pamiętaj jednak, że przestrzegałam cię, bracie.

- Wkrótce wkopiemy się poza mury. Przysiągłem sobie i Kianowi, że nie zostawię w mieście jednego żywego człowieka.

- Odkąd to dotrzymujesz słowa danego wrogowi? I to martwemu?

- Od wczoraj.

Kobieta zaśmiała się, pokiwała głową z niedowierzaniem. Gnała tu niemalże na złamanie karku, niosąc wieści i niepokój, i oto, co ją spotkało. Zazdrość, duma i upór. Przyznawała, że głupi, nedorzecznym, chorym.

A jednak oczekiwany.

- Weźmiesz wozy z łupami - podjął rozmowę Magdun. - I część niewolników.

- Będą tylko przeszkadzać. Zostaw ich lepiej tutaj, jak już się wkopiesz za mury.

- Może tak zrobię.

Sylwia objęła brata, a następnie odsunęła od siebie.

- Zbiorę swoich - powiedziała.

Magdun wyszedł za nią. Patrzył, jak siostra zbiera zastęp, chłonał jej rozkazy i nawoływania. Gonił spojrzeniem zakochanego smarkacza. Za krótko miał ją przy sobie, stanowczo.

Popatrzył na miasto. Katta z drużyną kończył właśnie dobijać niewiernych, w większości kobiety i podrostków.

Dzień był piękny na spotkanie ze śmiercią.

- Pozabijamy się kiedyś - szepnął do siebie. Ilekroć zostawiała go, miał złe przeczucie, że już się nie zobaczą. Dziesiątki ofiar poświęcił bogom w intencji szybkiego spotkania.

Wszedł do namiotu i położył się. Jutro czy pojutrze, nie miało to znaczenia, spotka się ze swym przeznaczeniem, wyzwie Semena na pojedynek, rozerwie na strzępy. Miał przy sobie dość wojowników, by stanąć przeciw olbrzymom.

Nazywał się Magdun.

* * *

Sylwia odeszła. Na czele swego zastępu, wozów wyładowanych wszelakim dobrem, i olbrzymem, przywiązany do jednego z nich. Starał się nie myśleć, dlaczego go nie zabiła, po co prowadziła za sobą. Odeszła bez słowa pożegnania, do ziem przodków.

Magdun miał złe myśli.

- Mero! - zawołał, krążąc przed namiotem, bo nie uleżał w środku. - Tunel gotów?

- Tak, panie - potwierdził wojownik. - Z obliczeń wynika, że przebiliśmy się za mury. Kończymy odnogi.

- Doskonale. Uderzymy, kiedy dam znak.

Gdy nadejdą olbrzymi.

Skrył się w namiocie, wzrok natrafił na księgę Sylwii - zbiór barbarzyńskich legend. Wziął ją w dłonie i stworzył na przypadkowej stronie.

- „Opowieść o chłopcu, co olbrzymą pokonał” - przeczytał tytuł.

* * *

Jadący przodem wojownik podniósł rękę, zawrócił.

- Książę! - zawołał. - Przed nami Giergard.

Monarcha przerwał rozmowę, wyjechał z kolumny. W końcu dotarli. Uśmiechnął się i naraz dostrzegł samotną postać.

- Sprawdźcie, kto to - rozkazał. Odprowadził wzrokiem jeźdźców.

- Pani - zwrócił się do kobiety, z którą rozmawiał wcześniej. - Niebawem staniemy do bitwy. Magdun jest niebezpiecznym człowiekiem, nie przestraszy się nas. Gdy rozbijemy obóz, przyrządzisz wywar.

- Stanie się, jak powiedziałeś, książę. Zamilkli i już nie odzywając się, doczekali powrotu wojów. Jeden z nich przywiózł przed sobą może dwunastoletniego wyrostka.

- Mówi, że uciekł z miasta - powiadomił.

- To prawda? - książę groźnie wykrzywił twarz.

- Tak, panie. Nazywam się Kian.

- Źle ci tam było ?

- Barbarzyńcy zabili mi ojca i matkę. A starsi postradali zmysły. Wolałem umrzeć, niż tam zostać.

- Opowiedz o wszystkim.

Słuchali, jadąc.

- Głupcy, głupcy, głupcy! - monarcha podniósł głos. - Książę musiał postradać zmysły?!

- Nie wiem, panie. Wiem jednak, że jeśli Bóg nam nie dopomoże, kruki i wrony rozdziobią nasze ciała.

- Nie rozdziobią. Obiecuję ci, że ukarzymy winnych.

Kolumna zatrzymała się. Oczom ukazały się wspaniałe mury miasta, wijąca się jak wąż rzeka i setki szalasów.

- Pięknie tu - rzekł Semen. - Zaprawdę, pięknie. - Podniósł rękę i zawołał: - Widziałem dzień naszej chwały, widziałem bitwę, o której bardowie śpiewali pieśni. Pan nam błogosławi. Wyznajcie Bogu swe winy i ukorzcie się, albowiem wielu stawi się przed Jego obliczem. Wkrótce krwią napoimy tę ziemię, naszą ziemię.

* * *

Magdun przyglądał się obcym, myślał o Sylwii, o przeczytanej opowieści i o nieuniknionym. Przeżył zbyt wiele, by się bać, a jednak czuł dziwny niepokój.

Po bokach stali ludzie, z którymi rozpoczął wyprawę. Nigdy się na nich nie zawiódł, nigdy nie zwątpił, gdy stali obok. A przeszli wiele, jeszcze więcej widzieli. Zelta, Katta, Bohda, Mero, Hagar, Taal... I ci nieobecni, lecz równie ważni.

- A niebo rozstało się i zesłali synowie światłości z mieczami przy bokach, by karać i nagradzać ułomny lud - rzekł Magdun. - Byliśmy wśród nich.

- Byliśmy - przytaknęli setnicy.

Nie wyobrażali sobie, by Giergard było końcem ich długiego marszu.

- Z ziemi i łez staliśmy się i będziemy po wsze czasy.

Minął ranek i minęło południe. Obserwowali poczynania wroga i żartowali, by zagłuszyć niepokój. Tak jak mówiła Sylwia, wojownicy rzeczywiście byli potężni i było ich wielu.

Ulokowali się w zasięgu wzroku, jakby chcieli sprowokować szybsze starcie, rozpalili ogniska i zajęli się czyszczeniem oręża. Nie wyglądało, by szykowali się do bitwy. Swoboda i beztraska, które od nich biły, musiały dać do myślenia.

Magdun schował się przed słońcem. Znudziła go jednostajność, jeszcze tak niedawno urzekająca, znudziła sielanka u nieprzyjaciół.

- Czekają - rzekł do kobiety, kolejnej z wielu. - Widziałem niepewność w oczach moich ludzi. Wiedzą, że bitwa nie będzie łatwa. Nie boją się, to pewne, przeszli swoje. Tylko że nie mamy już odwrotu. Jeśli nie podejmiemy wyzwania, nazwą nas tchórzami i wybiją w pościgu. Potem wyprawią swe hordy na nasze ziemie. Będą palić, gwałcić i mordować, tak samo jak myśmy czynili w ich gościnie. Jeżeli szanują życie tak jak ci z Giergardu, spodziewać się można najgorszego. Ceniłem niewiernych za ich bezwzględność i

wiarę w Boga, którego nazywają Dobrem. Są przykładem, jak niewiele wiara ma wspólnego z życiem. Chciałem poznać ich miasta i kobiety, skosztować potraw i zwiedzić świątynie. Udało mi się, po części. Zawędrowałem dalej, niż chciałem. I pewnie mógłbym zrezygnować. Tylko po co?

Położył się i sięgnął po księgę, przekartkował ją. Była kroniką życia Boga niewiernych, kiedyś człowieka, później wskrzesiciela i proroka. Dlaczego Sylwia mu ją zostawiła? I dlaczego wiozła ze sobą? Zapomniał się spytać.

- Tak naprawdę jesteście tacy sami - szepnął w pustkę. Przyciągnął kobietę i przytulił twarz do nagiego brzucha. Odetchnął nią. Niewiasty niewiernych otaczał nieprzyjemny zapach, były jednak wyjątkowo ładne, więc kazał je myć i namaszczać wonnymi olejkami. Należały mu się jako zdobywcy i ani myślał zrezygnować z tego przywileju.

- Kiedyś myślałem, że można dosięgnąć gwiazd, dotknąć słońca, być wiecznie młodym. A potem ujrzałem krew mej matki na rękach mego ojca i usłyszałem jego słowa: „Cudzołożyła ze sługą. Z tym zapchlonym psem Kainem!” Następnego dnia poznałem kobietę, którą kazano mi nazywać macochą i zrozumiałem, że matka nie była niczemu winna. Byłem zbyt młody, by wystąpić przeciw mordercy. Doczekałem się jednak sprawiedliwości. Któregoś dnia znaleziono ojca z nożem w sercu, leżał w rynsztoku, twarzą w dół, martwy i już niegroźny. Zginął tak samo jak żył, a ja nie uroniłem nad nim nawet łzy. Jego śmierć stała się wyzwoleniem. Dziś imię moje wzbudza strach, na jedno skinienie gną plecy tysiące. Tysiąc głów strąciłem z karków, tysiąc ciał zgniło w ziemi. A jednak ciągle czegoś mi brak. Być może matki, którą mi odebrano tak wcześnie?

Dotknął piersi niewolnicy, zacisnął palce. Pomyślał, że są warte wyrzeczeń, których doświadczał, lecz jednocześnie tak pospolite. Objął wargami najpierw jeden, potem drugi sutek, opuścił dłonie na pośladki, jędrne i silne.

Władza była najprzyjemniejszą rzeczą na świecie. A kobiety najpiękniejszym jej uzupełnieniem.

* * *

Dostrzegli ich, gdy tylko zrzędnęła mgła. Stali o sto kroków od obozu, czekając na wschód słońca. Potężni, groźni, milczący. Do boków mieli przypięte miecze, w jednej ręce dzierżyli włócznie, w drugiej tarcze.

Magdun zwlókł się z niewolnicy i wyszedł przed namiot.

- Panie!?! - Krzyk przeszył go dreszczem. W tej samej chwili niewierni uderzyli. Wrzask setek gardeł rozdarł ciszę, przeraził i zdziwił, poderwał nienormalnie senny obóz.

Magdun wrócił po miecz, do ust przyłożył róg. Za późno. Dali się zaskoczyć.

Dostrzegł procarzy i łuczników, chmara strzał i kamieni przyćmiła słońce, nieprzyjaciel dopadł pierwszych szalasów.

- Hagar!

Setnik był już obok.

- Nie upilnowaliśmy - jęknął.

- Widzę.

Opadły pierwsze miecze, pierwsza krew zrosiła ziemię. Magdun rozejrzał się i zaklął. Miała rację Sylwia, mówiąc, że nie będzie gdzie uciekać. Olbrzymi byli już wszędzie.

- Ani kroku w tył! - warknął.

Miał zamiar spotkać się z Semenem, być może zawrzeć przymierze, odwlec chwilę ostatecznej rozgrywki, przyciąć się i nabrać sił. Przeliczył się z planami.

Niewierni posuwali się jak przypływ, zmiatając wszystkich, którzy stanęli im na drodze. Klingi wznosiły się i opadały, raz za razem, bez chwili przerwy. Hagar zderzył się z olbrzymem, nie wytrzymał siły uderzenia, ugiął. Ostrze rozorało mu pierś jak wosk. Martwiejące ciało poleciało w tył, zwiotczało kilka kroków dalej.

- Katta! - Magdun wyłowił setnika. Wojownik zatrzymał się, przypadł do nóg księcia.

- Kto pozwolił!? Mianowałem cię, psi synu! Zbierz ludzi!

Mężczyzna zerwał się, uderzył kilku uciekających jego śladem, wykrzyczał rozkazy. Księżę pobiegł za nim. By nie pozwolić na chaos i ucieczkę. By odwlec rzeź.

Niewierny wyłonił się jak spod ziemi, rozplątał biegnącego przed monarchą wojownika, ani przystanął, ręce wzniosły się w zamachu.

Magdun przykląkł, ciął po gołeniach, prześliznął za plecy przeciwnika, przeciągnął ostrzem po karku. Olbrzym obrócił się na kolanach, nagłym wyrzutem ramienia cisnął tarczę, chybił o włos. Miecz księcia zagłębił się w jego trzewia.

- Panie!

Klinga ześliznęła się po zdobyczej tarczy, wbiła w ziemię. Jeden z wojowników skoczył przed Magduna, plując krwią, z dłońmi na wypływających wnętrzościach upadł u jego stóp.

Dwóch innych...

Książę nie patrzył. Odwrócił się i zaczął biec.

* * *

Najstarszy oparł dłonie o mur, odetchnął. Biegł, by tu dotrzeć. Zziajał się, krew nabiegła do twarzy. Sługa powiadomił go o bitwie, nie mógł jej przegapić.

- Semen - szepnął słowo zakłęcie. - Nie liczyli na jego przybycie, nie spodziewali się, że to od niego doczekają się odsiecz. Zła legenda towarzyszyła Semenowi i jego siepaczom. Jeszcze więcej plotek kryło kobietę, wiedźmę, która ponoć, choć przekroczyła setkę, wyglądała jak osiemnastolatka. Wieść niesła, że to jej czary chroniły wojowników Semeną przed bólem, pozwalały widzieć w ciemnościach.

Atakowali we mgle, szybko, skutecznie, nie zostawiając rannych. Świadkowie walk opowiadali straszne rzeczy.

- Mówiono o tym człowieku, że jest demonem stojącym na czele demonów - mruknął Inneo. - I wiele w tym racji.

- Będziemy musieli otworzyć mu bramy. I dać wszystko, czego zażąda.

A jako zwycięzca mógł zażądać wszystkiego.

- Jeśli w zamian ocalimy życie...

Czy jednak mogli mieć pewność? Semen słynął z okrucieństwa. Często najmował się za określoną ilość młodych chłopców, po których ślad wszelki ginął. Mówiono, że wcielał ich do swej armii, ile jednak w tym było prawdy, nie wiedział nikt.

Bitwa przekształciła się tymczasem w rzeź.

- Wystaliśmy na śmierć Kiana - odezwał się Dabor. - Gdyby był teraz z nami, moglibyśmy zamknąć przed Semenem bramy.

- Wczoraj, lecz dziś?

Nagły gwar na dole przerwał rozmowę. Najstarsi odwrócili się od pola bitwy i oniemieli z przerażenia. Spod ziemi, jak mrówki, wyłazili barbarzyńcy..

- Boże chroń!... - Najstarszy zbladł jak śnieg. Ujrzał miecz w uderzeniu, ujrzał krew dziecka.

* * *

Magdun wzniosł oręż i przejechał nim po plecach. Wdarli się zgodnie z planem, niespodziewanie, choć może trochę za późno. Ale co tam. Rozliczą się z tymi, ech, i o wszystkim zapomną.

Rozejrzał się i pognał do baszty, wpadł na schody.

Nikt ich nie próbował zatrzymać, nikt nie stanął na drodze. Rozbiegli się po obwałowaniach, tnąc na lewo i prawo, zdzierając gardła. Czerwień zrosiła mury.

- Pozdrawiam Radę Giergardu - książę pokłonił się starcom. - Nareszcie razem! Czyż to nie wspaniałe doznanie? Móc spotkać się ze swym pogromcą?

- Tyś Magdun, znenawidzony zabójca dzieci i starców?

- Jam jest. Przypatrzcie mi się. Zanim nie każę wydłubać wam oczu i wtrącić do lochów. Obiecałem Kianowi, że nikt żywy nie opuści miasta. Mam zamiar dotrzymać słowa.

- Barbarzyńco!

Miecz zaśpiewał w uderzeniu i najstarszy, z ustami wykrzywionymi w niemym krzyku, padł martwy.

- Uczono mnie, by, zanim coś się powie, pomyśleć - rzekł książę. - Doradzam wam to samo. - Popatrzył na Giergardczyków. Potem wyjrzał za mur.

Bitwa miała się ku końcowi. Gdzieś z mgły dochodził jeszcze szczepek żelastwa i pokrzykiwania, lecz nie łudził się - poniósł klęskę tak wielką, jak nigdy dotychczas. Zatracił wojowników, najmniejszy kwiat swego ludu. Ostrzegą go Sylwia...

- Zaprowadzicie mnie do skarbcza - rzekł, nie odwracając głowy. - Pokażecie piwnice i spichlerze. Nawet jeśli przyjdzie mi tu szczeznąć, niech nacieszę oczy tym, co zdobyłem. Bohda!

- Tu jestem, panie - dobiegł głos z dołu.

- Przejmujesz dowodzenie. A wy - zwrócił się do starców - pójdziecie ze mną. I baczcie, byście nie rozbudzili mego gniewu.

W milczeniu zeszli z muru, w milczeniu przyjęli widok martwych kobiet i mężczyzn. Tak też doszli do dworu.

* * *

Semen siadł i potrząsnął głową. Nie spodziewał się podobnego obrotu sprawy. Nie docenił przeciwnika.

- Widziałas? - zapytał kobietę.

- Tak. Magdun przedostał się do miasta.

- I ma dość ludzi, by się bronić. Źle się stało, że tak późno wziąłem wywar.

- Gwiazdy nam sprzyjają, księżę.

- Wiem.

Gdy doszły w góry wieści o najeździe barbarzyńców, a w głowie zaświtała myśl o panowaniu nad światem, nie zastanawiał się długo. Rozesłał rozkazy i zebrał rozproszonych wojowników. Stawili się w pełnym uzbrojeniu, gotowi na śmierć, gotowi, by ją zadawać.

Stojąc w jaskini, sto stóp nad ziemią, przyglądał się im i oceniał.

- Zwycięzimy? - zapytał stojącą przy boku kobietę.

- Jeśli tylko zechcesz, panie - padła odpowiedź.

Spotkali się przed wieloma laty. On zabijał za pieniądze, ona miała dar, który zaprowadził ją na stos. Już płonął ogień pod palem, do którego była przywiązana. Dzień był pochmurny i wietrzny. Zaczęła krzyczeć i przeklinać oprawców, języki ognia sięgnęły tydek.

Semen stał w tłumie i przyglądał się egzekucji. Bez emocji i chęci pomocy. Znużony, miał odejść, gdy niebo rozdarła samotna błyskawica i lunął deszcz. Wtedy podjął decyzję. Dосkoczył do stosu i przeciął więzy, parząc dłonie i osmalając włosy wypchnął kobietę poza zasięg płomieni.

Nie pomógł jej w niczym więcej, jej los nie był jego losem, podarował jej tylko szansę na nowe życie; to, czy będzie potrafiła z niej skorzystać, nie jego było zmartwieniem.

Nie widzieli się kilka lat. A gdy spotkali się ponownie, to on potrzebował pomocy. Widząc w tym rządzenie losu, zostali razem, na dobre i złe. Doskonałe uzupełnienie całości.

Gdy dotarli pod Giergard nie wiedział, czy i w ogóle uderzy na barbarzyńców. Chciał negocjować, by w niepotrzebnym starciu nie tracić ludzi. Słyszał wiele o Magdunie i nie wykluczał porozumienia. Zmuszała do tego liczebność jego armii.

A potem przyszła mgła, znad rzeki, tak gęsta, że aż zastanawiająca. Momentalnie podjął decyzję. Uderzyli szybko, z zaskoczenia, bez formowania drużyn. Po raz pierwszy bez uzgodnienia pozycji, niemal na oślep, bo sami z trudem dostrzegali wrogów.

- Panie, widziałem obcych na murach mego miasta! - Chłopak przystanął o trzy kroki od księcia. - Widziałem, jak zabijali mych braci. Panie, wygrałeś bitwę, a jednak pozwoliłeś na rzeź mego ludu. Wierzyłem, że pomożesz mi go ocalić. Dlaczego?

- Nie wszystko toczy się tak, jakbyśmy tego chcieli - rzekł Semen, nie patrząc na rozmówcę. - Bóg musiał pogńiewać się na Giergard.

- Ale dlaczego?

- Nie wiem, chłopcze.

- A zatem przeklnę go tak, jak on nas przeklął.

- I co ci to da? Nic. Minionych dni nie cofniesz.

Wiedzieli o oblężeniu zanim tu dotarli, zbyt długo trwało. Dziwili się. W kilku potyczkach wyłtkli kilkunastu barbarzyńców, ranni odpowiedzieli na wszystkie pytania. Zrozumieli, że nie przestraszą Magduna. Dlatego nie przyspieszyli marszu. Liczyli, że armia rozproszy się, znudzona przydługim oblężeniem. W międzyczasie dołączyło do nich kilka drużyn z niezajętych miast. Wysyłali ich na pierwszą linię, opornych dobijali sami.

- Co zamierzasz, panie ?

- Zwyciężyć.

* * *

Skarbiec był pełen, spichlerze puste.

Magdun szedł i kręcił głową. Czekały go ciężkie dni. Jeśli oblężenie się przedłuży, głód. Potem być może bunt. A na koniec walka o godną śmierć.

- Jeszcze tydzień, a pozabijalibyście się nawzajem - stwierdził bez zainteresowania, oglądając pałacowe wnętrza. - Za dwa znalazłbym tu wasze ogryzione kości.

Starcy milczeli.

- Żyliście tutaj jak w rajku.

Mijali komnaty ociekające srebrem i złotem, szlachetnymi kamieniami, myśliwskimi trofeami. Zbytek i bogactwo raziły oczy.

- Wystarczyło się wykupić, by dalej pławić się w rozpuście.

Zatrzymali się przed ołtarzem. Magdun popatrzył w oblicze ukrzyżowanego. Widział go nie pierwszy raz, choć po raz pierwszy był w poświęconej mu świątyni. Nie czuł nic.

- Nie jesteś moim Bogiem - stwierdził. - I dobrze, bo gdybyś nim był, szczerłbym pewnie marnie pod murami Giergardu. Nie szanujesz swych wyznawców, nie litujesz nad ich losem. Są głupi, a ty nie próbujesz tego zmienić. Może dlatego zawisłeś głową w dół - tak łatwiej splunąć ci w twarz, łatwiej zakryć oczy i uszy.

Starcy, choć słyszeli monolog, nie próbowali go przerwać. Było napisane, że każdy bluźnierca zostanie ukarany, wierzyli w moc swego Boga.

- Zwyciężyłem - ciągnął książkę. - Rozpętałem burzę i zakłóciłem porządek świata. A teraz być może umrę bezpotomnie jako ten, który przeliczył się z siłami.

Nie tego oczekiwał.

- Za mną - rozkazał.

Nagle zaczął się dusić. Przepychem, ciasnotą, brakiem wyjścia z matni. Brakiem powietrza. Wyszedł na zewnątrz, usiadł na stopniach świątyni-pałacu, uśmiechnął się do słońca. Było piękne południe, kolejne w Giergard.

Krzyki mordowanych plątały się z wrzaskami zdobywców. Słuchał bez przyjemności.

- Panie, powstrzymaj swych ludzi - przerwał milczenie jeden ze starców. - Nie skazuj niewinnych.

- Dość!

Zza budynku wyłonił się Taal. Magdun skinął, by podszedł.

- Dobrze, że jesteś. Złap kilka kobiet i dzieci, i powieś ich za murami. Za nogi. Teraz!

Ogarniała go wściekłość.

- To wy wysłaliście Kiana przeciw mnie? - zapytał starców.

- My.

- Na śmierć. Musiał zaleźć wam za skórę?

- Wierzyliśmy w zwycięstwo.

- Tak samo jak ja. Gdybym nie był go pewien, nie ruszałbym na wyprawę.

Choć akurat co do tego miał wątpliwości. Nagle poderwał się i uderzył dwa razy. Dwa ciała osunęły się do jego stóp.

- Obiecałem Kianowi - rzekł.

Skazali na śmierć wielu młodszych od siebie. Zasłużyli na ich los. Usiadł na powrót.

- Dlaczego?... - chciał krzyknąć, jedynie wyszeptał. Tiun zdobył z marszu. Po zajęciu kilku pobliskich osad i wymordowaniu wieśniaków, w biały dzień wpadli do miasta i rozpoczęli rzeź. Nawet nie napotkali zbyt dużego oporu. Nie brali jeńców. Poszli dalej.

Giergard zastali zamknięte. Ktoś z murów przywitał ich przekleństwami. Uderzyli dwa razy, lecz nie pokonali bram. Zginęło kilku, marny ułamek w morzu. Splunął tylko, widząc porażkę. Odesłał paru setników. Zaciął się, by zdobyć miasto osobiście.

Tak naprawdę nie stoczyli jednej większej bitwy. Zaatakowani otwierali usta, nieruchomieli, niektórzy padali na twarze, błagając o litość. Tych, którzy wyszli im przeciw, brali między siebie. Co znaczyło kilkudziesięciu niewiernych wobec ich tysiąca? Rozdeptywali ich trupy.

Tymczasem zaczęło zmierzchać. Wstał ze schodów i ruszył w miasto, wymarłe i ciche, pachnące krwią i śmiercią.

Długo szedł, nim napotkał pierwszego wojownika.

- Gdzie reszta? - zapytał.

- Na murach, panie.

Udał się tam. Ostatni setnicy schylili głowy.

- Co się stało?

- Mgła podeszła - wyjaśnił Taal.

Biała i gęsta, słała się tuż przy ziemi, powoli podchodziła wyżej. Taka sama jak ta, z której wyszli olbrzymi. Taka sama.

- Wyznaczyliście strażę?

- Tak, panie.

- Przyszykujcie więc pochodnie. Dobrze byłoby odpocząć tej nocy. Czy wiadomo, ilu weszło do tunelu?

- Będzie ze stu. Ale może być więcej. Rzeź, rzeź...

I na dodatek puste spichlerze. Jak długo wytrzymają?

* * *

Semen ukucnął opodal Iloe. Przyglądał się nienaturalnie gęstniejącej mgłę. Co chwila patrzył na towarzyszkę doli.

Nie pierwszy raz brał udział w jej czarach, za każdym przechodziły go zimne dreszcze. To ona dała mu armię, w zamian za silną rękę i przyjaźń, i ona pierwsza w niego uwierzyła. Kiedyś uratowała życie.

Rankiem, gdy patrzył na pobojowisko i chmary ptactwa chętnego uczyć, jeszcze nie wiedział, co robić. Czekanie nie wydawało mu się dobrym pomysłem, a oblężenie było nierealne. Miał zbyt mało ludzi, by otoczyć Giergard.

W południe zwołał setników i patrząc na zwisających z blanków zakładników, polecił wiązać drabiny i szykować się do szturm. Poprosił Iloe, by usidliła mgłę.

Wieczorem byli gotowi, podzieleni na drużyny i zadania. Każdy wypił łyk magicznego wywaru i polecił się bogom. Iloe zajęła się zaklęciami.

- Czas - Semen dał znak i pierwszy szereg wszedł w mgłę.

Patrzył, jak w niej nikną, rozmazują się, rozplývają. Z lewej, z prawej... Uderzyli.

Z blanków posypały się kamienie, niektóre odbiły się od tarcz, niektóre dosięgły celu. Głos rogu rozszedł się w ciemności, rozbudził krzyki.

Zakończone hakami drągi oparły się o szczeble drabin, muskuły napięły.

Pierwsi olbrzymi przeskoczyli na obwałowania.

Miecze zasmakowały krwi, oczy przerażenia i zaciętości.

Po obu stronach.

Magdun puścił róg, palcami objął jelec. Nie wierzył, że tak szybko dojdzie do starcia, a jednak. Kolejny raz pomylił się w przypuszczeniach. I zawiódł się na bogu, w imieniu którego prowadził wyprawę.

Rozejrzał się i dołączył do swoich. Rozszalał się

* * *

Po północy, w świetle uniesionych wysoko pochodni, Semen z Iloe przy boku przekroczył bramę Giergardu.

Przywitały ich okrzyki olbrzymów i hałas mieczy uderzających o tarcze. Spojrzenia ostatnich żywych barbarzyńców, ich oczy.

Książę wznosił ręce ku niebu.

- Chwała zwyciężonym - rzekł w zupełnej ciszy. A potem do nich podszedł.

- Magdun? - zapytał.

- Jam jest.

Popatrzyli sobie w oczy. Ciekawi swych twarzy, sylwetek. Dorównywali sobie wzrostem, mieli podobną budowę ciała, karnację.

- Nie zabiję cię - rzekł Semen. - Choć mógłbym kazać, by moi cię rozsiekali. Jesteś odważnym człowiekiem i możesz mi się jeszcze przydać. Poza tym twoi nadal pustoszą kraj.

- Pustoszą - przyznał pokonany. - I jest ich dość, by stanąć ci naprzeciw.

- Lub zawrzeć porozumienie. Potem zasiedlić te ziemie. Władanie pustymi miastami nie przynosi profitów.

- Co proponujesz?

- Dziś? Życie tobie i twym ludziom.

- Do nogi wybiliśmy mieszkańców Giergardu.

- Tym lepiej.

- Panie?! - chłopięcy, piskliwy głos wdarł się w rozmowę. - Obiecałeś ukarać winnych!

Semen popatrzył na chłopca.

- Zostali już ukarani - odparł. - Prawda? - zwrócił się do Magduna.

- Jeśli masz na myśli Radę, jest tak w istocie.

- Słyszałeś?

Pięstki dziecka wylądowały na brzuchu mężczyzny. Dłoń księcia zacisnęła się na kubraczku chłopca i uniosła w górę, zgięte ramię wyprostowało się nagle.

- Wyrzucie go z miasta - padło polecenie. Magdun pochylił głowę. Przegrana z takim przeciwnikiem z pewnością nie przynosiła mu ujmę.

- Chcesz ogłosić się nowym władcą? - zapytał.

- Tak.

Oto skończyło się coś wielkiego, a rodziło być może jeszcze większego. Wystarczyło wejść w te same drzwi, podążać tą samą drogą.

- Milczeli, świadomi wagi wypowiedzianych słów.

- Pomogę ci - Magdun pierwszy przerwał ciszę.

Wiesław Gwiazdowski